№ 3. Warszawa, dnia (8) 20 Stycznia 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
kwartalnie . . .	rs. 1	kwartalnie . .	rs. 1.25
Za odnoszenie do domu kop. 10.		półrocznie . .	„ 2.50
		rocznie . . .	„ 5 —

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: **We Lwowie i Krakowie:** Kwartalnie **flor. 1.80.** Na prowincyi **flor. 2.20. W Poznaniu** kwartalnie **mr. 3,** na prowincyi **mr. 3.75.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60,** lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: **we Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; **w Krakowie** Księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** Agencya główna na Niemcy **Księgarnia Świętego Wojciecha** w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12 „Nadesłane”** wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą. Zmiana adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

SEWER.

LEGENDA.

(Dalszy ciąg).

— Wielkie pieniądze muszą być w tych książkach—odezwała się matka.

— Skupowałam po jednej, a zaczęłam, gdy miałam piętnaście lat. Całe siedem, to można było zebrać garsteczkę.

— Zrobię pani w wakacye pułki, Znam trochę stolarkę..,

— A ja kupię deski i pomaluję.

— No i macie rozrywkę—dodała matka.

— Książki dla Jasia bal; wszystkie prawie, jakie są w okolicy przeczytał.

— Cieszę się, że będę mogła panu kierownikowi zrobić małą przyjemność.

— Reszta na jutro, a tymczasem ułóżcie „nową“ do snu. Trzy opętane mile po piaskach od kolei jechała w gorąco.

— Jeszcze czas! Lubię wieczorami błądzić po księżycu. Dawno nie byłam na wsi, przejdziemy się z Józią.

— A my, Jasiu, wypchamy słomą siennik i pościelemy jej w bawialnym pokoju—radziła matka. — Materace i poduszki ma własne.

Jaś się zerwał, Zosia z kufra wyjęła bieliznę, matka urządzała legowisko, przyjaciółki pobiegły obejrzeć wioskę przy świetle księżyca, pod przykryciem niebieskiego firmamentu usianego gwiazdami, wśród ciszy, zapachu zbóż i świeżości rosy.

— Ta pani — rozważał Jaś — rządzi się tu zaraz na początek jak szara gęś — i poradźże tu z nią!.. Do tego przylepka, że niema rady tylko ustępować... Dobrze z nią jednak będzie! Tyle książek, a tu wakacye za pasem. Tęsknota mnie żarła za książkami.

Siennik wypchany położono w rogu na podłodze bawialnego pokoju, na nim materace. Sama matka słała. Na ustawionych stołkach rozciągnęła prześcieradło, aby światło z okien nie raziło wzroku „nowej.“

. . . .

„Nowa“ z zapalonym stoczkiem weszła cicho, zdjęła sukienkę, stoczek zgasiła, wsunęła się pod kołdrę, ręce założyła pod głowę. Sama z sobą, zamyślona, oddychała wolno, głęboko. Nieznana w niej radość, z ciepłą krwią młodości spływała do serca.

— Dobrze mi; malutki światek, do którego los mnie rzucił, poczciwy jest i serdeczny. Naiwność jest szczerością i mówi nieraz o dobroci. Światek ten ma błyski cywilizacyi i rad skrzydła roztacza... Oddam mu całą moją siłę, ile jej tylko posiadam... Sierota, czuję, że znalazłam na ziemi kącik, w którym mi będzie wolno swobodnie oddychać. Może matka wyprosiła u Boga tę pierwszą posadę dla mnie. Może moja niedola dała mi ją w nagrodę. Mój Boże, za tę ciszę, którąś mnie tu otoczył, za tych troje serc, co idą do mnie, za ich dobre uśmiechy, przysięgam łagodzić ich bóle i prowadzić do słońca!..

Dobrze mi tu, lud szorstki, ale nasz, swojskość bije od niego i bierze...

Zasnęła.

Śniła, że otoczona gromadą dzieci i ludzi, bawi się na łące zasłanej kwieciem. Józia była z nią, kierownik nazywał ją panią z kanapy. Serdeczność płynęła z kielichów kwiatów, słońce otulało ich ciepłymi promieniami, skowronki siadały im na ramionach, melodye wydobywały się ze szmeru płynących strumyków...

Wyciągnęła ręce i obudziła się.

. . . .

Słońce wysłało gońca na pobicie ciemności. Jutrzenka opanowawszy świat, stroiła go w róż i perły, na przyjście boga, co daje ciepło, rozkosz, życie.

Zbudzone dziewczę wysunęło się z obstawionych krzeseł i podbiegło do okna.

Szeroki gośoiniec bielił się ustrojony wierzbami, dalej zielona murawa z olszowem zagajeniem. W środku niewiadomo zkąd dźwigały się w niebo cztery razem stare topole.

Wychyliła się. Z pośród olbrzymów dębów i rosochatych lip, różowiły się białe ściany kościołka i wysokiej dzwonnicy. Za niemi gęste drzewa zasłaniały widnokrąg.

Spojrzała w drugą stronę — szereg białych chat i ogrodów śliwnych. Wysokie żórawie zadumane sterczały. Cisza jak przed stworzeniem świata. Raptownie mgła zaczęła dźwigać się z ziemi na powitanie słońca, mgła powiewna, jak pajęczyna, przejrzysta, wiotka, wesoła jak radość.

Dziewczę skrzyżowało ręce, jak święta, na piersiach, zapatrzone na czary, pierwszy raz przez nią widziane.

— Cóż to za rozkosz kąpać się w mgle i razem z nią wyciągać ręce do słońca i śpiewać hosanna!..

Gdy będę w swej izdebce, muszę z jutrznianą rosą biedz witać słońce.

Są rozkosze, bylebyśmy tylko umieli je czerpać... Wioszczyna garnie ku sobie!

Złożyła ręce do modlitwy i zimno ją zatrzęsło, wyciągnęła ręce, jak gdyby do wniebowzięcia, wróciła do łóżka.

— Boże, co za sen rozkoszny dałeś mi na powitanie mej służby. Słyszę jeszcze melodyę płynącą przy akompaniamencie szmerów strumyka.

Zaczęła pocichutku nucić—zasnęła...

Zbudziły ją wołania i śmiechy na gościńcu. Pastuszki gnali bydło na błonia i jak dzieci radowali się słonku!

— Patrzcie—wołał pastuszek — krasula ciekawa na „nową,“ zagląda do szkoły. Głupia, ujrzysz ją jeszcze nieraz!

— Ho, ho, krasula najciekawsza—świadczyły wesoło dzieci.

Dziewczę się zerwało. Krasula stała na schodach szkoły i zaglądała do okna.

— Moja krasula, poznamy się i polubimy.

Ubierała się żywo. Otworzyła kufer, wydobyła z niego perkalową sukienkę i szary fartuszek obszyty czerwoną tasiemką, umyła się, na głowę włożyła czepeczek i przejrzała się. Świeżość i uroki biły od niej...

— Dziś nie powie kierownik, żem „dama z kanapy."

Wyjęła z kufra samowarek, imbryk, filiżanki, bułki krakowskie, maselniczkę...

Z samowarem pobiegła do kuchni, nastawiła go, Kasię posłała po masło. Nakryła w bawialnym pokoju stół swoją serwetą, zastawiła śniadanie i zapukała do drzwi sąsiednich.

— Dzień dobry jaśnie państwu. Czy śniadanie posłać przez Kasię, czy przyjdziecie do salonu, spożyjemy razem.

— Zosiu, jużeś wstała. Dzień dobry! Za chwileczkę będę gotowa. Po wczorajszych przechadzkach spało mi się królewsko...

— Czy rozlać herbatę?

— Nie pijamy, dziecko, herbaty. Zacierkę na wodzie lub mleko.

— Herbata gotowa.

Otworzyły się drzwi, wbiegła Józia, za nią wolno wszedł kierownik z miną nastrojoną na powagę.

— Jaś, patrz — mówiła Józia — jak twoja „pani z kanapy" wystąpiła. Ten wielki kufer, to jakiś czarodziej, wszystko w nim się mieści.

Kierownik wzruszony wdziękiem i uprzejmością „nowej," pocałował ją w rękę.

— Jestem rada, że się na coś przydałam— mówiła wesoło Zosia.—Nalewam, pomagaj mi Józiu. Gdzież mama?

— Mama wraca z kościoła i bardzo lubi herbatę z łyżeczką araku... Ho, ho, czarodziejski kufer sypie bułki krakowskie.

Przyszła matka, usiedli we czwórkę do śniadania.

Zosia nalała filiżankę, omaściła ją arakiem, rozkrajała bułkę, posmarowała masłem, zaniosła Kasi. Czyn ten zrobił wrażenie w kuchni i na biesiadnikach. Kasia była faworytką matki...

Wszedł wójt, zaproszono go na herbatę dobrze osłodzoną i lepiej jeszcze omaszczoną. Jadł bułki z masłem i rozochocony przyrzekał, że nazajutrz poszle po deski na podłogę i okna do pokoju nauczycielki, a dziś jako zastępca przewodniczącego w radzie szkolnej, bo jegomość wyjechał do Tarnowa, zainstaluje „nową..."

Kierownik zgodził się oddać drugą klasę i zabrawszy wójta, wyszedł z nim do dzieci.

Kobiety zostały same.

— Moja Zosiu, bardzo się boję, czy wytrwasz z nami w tym zakątku oddalonym od świata?

— Jeśli wy trwacie?..

— My musimy, wżyliśmy się w nasze role. Ty jednak możesz tak zatęsknić za swoim światem, że rzucisz wszystko i pójdziesz. Wiosna i lato są rozkoszne, lecz w jesieni i zimie, to i nam nieraz serce się kraje i smutek taki siada na piersi, że się ma ochotę skryć przed nim pod ziemię...

— Razem będzie nam weselej — odparła Zosia.—Gdybyś była na mojem miejscu, toby ci się zdawało, że w tej zapadłej wiosce raj znalazłaś...

— Ta-a-k, a wyglądasz, jakbyś całe życie była bardzo szczęśliwa, kochana...

Zosia uśmiechnęła się smutno.

Wpadł do pokoju chłopak rumiany, wesoło patrzący.

— Profesorkę „nową" proszą wójt do klasy.

Zosia wybiegła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYCHODŹTWO.

Od samego początku tego ruchu naszej ludności roboczej i jej wędrówek za chlebem w dalekie kraje, przechodzimy od jednej błędnej informacyi do drugiej, za której autentyczność nic nam także właściwie nie poręcza — od najpessymistyczniejszych obrazów kreślonych przez tak zwanych naocznych świadków, do cudownych miraży pomyślności materyalnej i duchowej spójni tego wychodźtwa, o którem dziwy nam opowiadają inni znowu świadkowie, równie jak tamci w mniemaniu powszechnem wiarogodni, bo tak samo naoczni jak pierwsi. Jeździli już różni ludzie za ten ocean — jedni przed laty kilkunastu, aby zatrzymać tłumy gnane w istocie jakimś niepojętym pędem na te największe hazardy, na jakie się człowiek ciemny i biedny z rodziną narazić może. Jeździli inni, którzy nie myśląc o niepodobnym w istocie ruchu wstecznym tej fali potężnej, zamierzyli tylko rzecz sprawdzić, zbadać, i gdyby można usłużyć nieświadomym radą, jeśli już nie pomocą czynną, a za powrotem objaśnić ogół, jak stoi sprawa w rzeczy samej, i coby można zrobić dla tych, których z pewnością bardzo nieliczne tylko wyjątki zobaczyć możemy kiedyś powracające do kraju.

Wszystko to nieudawało się nam prawie wcale. Jedni z tych delegowanych byli zbyt późnego wieku ludźmi, aby się w głąb kraju nieznanego, bez dróg, komunikacyi i jakichkolwiek widoków ułatwień zapuszczać mogli— innym choć nie zbywało na dobrej woli, nie dopisało może niezbędne w takich razach doświadczenie i odwaga exploratorska, a choć może i znalazł się był taki, który nam z tych puszcz i stepów zdolny był przywieźć nieco danych pozytywnych, to go znowu wysłano z tak mizernymi środkami, że zadanie samo rozpatrzenia się, sprawdzenia i t. d. stawało się wprost niewykonalnem.

Jedni tedy chcieli a nie mogli, drudzy prawdopodobnie niedosyć stanowczo chcieli, aby czegoś dokazać, a ogół, cały najszerzej pojęty ogół, okazał się, powiedzmy to sobie odrazu, apatycznym, obojętnym, a w każdym razie wobec tego prądu pełnego znaczenia, bynajmniej nieprzedsiębiorczym. Cokolwiekbyśmy na usprawiedliwienie nasze przed sumieniem własnem powiedzieć sobie mogli, zawsze w końcu wypadnie wniosek, żeśmy te tysiące i setki tysięcy zostawili losowi własnemu, że do tej pory nie dopomogli im groszem możni—duchem organizacyi intelligentni, sercem i poświęceniem ci, o których powiedzieć można, że gdy się pod wpływem dobrego popędu uzbrojonego wytrwaniem uczują, zastąpić mogą sobą niekiedy i światło, i dostatki, i doświadczenie nawet.

Bo to tak dzieje się zwykle ze społecznościami, gdy te utracą raz swoje pierwiastki ożywcze—te właśnie, o których wspomnieliśmy w ustępie ostatnim, a których brak i w tej, i w wielu innych okazyach dotkliwie uczuwać się nam daje. Może zapomnieć człowiek, dla którego troska o mnożenie własnych dostatków jest pierwszem i ostatniem przykazaniem, mogą najmędrsi przebywać w chwili danej z rozumem swoim w innych sferach działalności, ale nie powinni w żadnym razie zabaczyć najlepsi, ci co mniej liczą niż czują, mniej przewidują a więcej za to biorą w siebie cierpienia, łzy i niedole zbiorowe.

Nie dlatego, aby komukolwiek robić zarzut, nie dlatego, aby poddawać surowej krytyce zachowanie się w tej sprawie poszczególnie branych grup społecznych, piszemy dzisiaj te kilka słów szczerego żalu i skruchy. Żadnej owszem nie obwiniamy z tych grup, żadnej nie wskazujemy, jako najwinniejszej, a tem mniej jako sprawczyni choćby pośredniej przewrotu całego—ot, poprostu licząc się z faktem i sumieniem, uznajemy autentyczność sytuacyi, a niepokój sumienia rodzi sama bezradność, a niestety i bezkłopotliwość nasza.

Kto byli ci, co odeszli? Byli ludźmi naszymi w najściślejszem rozumieniu tego słowa, byli nadto nietylko najbiedniejszymi, ale najnędzniejszymi wpośród nas. Odchodzili z pewnością z żalem, z boleścią, z rozpaczą nawet, bo odchodzili po to, aby nie powrócić, a nasz żal, nasze cierpienie, nasze łzy nie poszły za nimi na tułaczkę. Nie chcieliśmy myśleć o tem, jak to tam konali w nędzy i opuszczeniu pierwsi, torujący drogę tym zastępom widm—nie ścigały nas obrazy tych karczowników cudzych puszcz i zraszających potem naszym cudzą ziemię—niezatroszczyliśmy się o danie do ręki narzędzia pracy ojcu, słowa otuchy matce upadającej w trudzie, ani promyka światła i iskierki tęschnicy dla umysłu i serca ich dziecka — naszego przecież dziecka—naszego rodzonego.

Czyśmy przez ten czas byli szczęśliwi lub nie — czyśmy szaleli karnawałem i zaskorupiali się w ciasnym jednostkowym egoizmie, to już rzecz do porachunku między każdym z nas pojedynczo wziętym, a jego sumieniem— między nami wszystkimi wziętymi, jako zbiorowość, a zbiorowem sumieniem naszem.

Obecnie sprawa wstępować zaczyna w nową fazę. Tymi tysiącami interesują się już między nami ci, których wolno nam na tę chwilę nazwać ludźmi daleko widzącymi i umiejącymi przewidywać. Prasa przyjmuje udział i stara się o informacye wiarogodne. „Kuryer Codzienny" podaje wiadomości gruntowniejsze o ruchu emigracyjnym, „Gazeta Polska" zapowiada szereg korespondencyj z Kurytyby.

Treścią tych sprawozdań będziemy się skrupulatnie dzielić z czytelnikami „Tygodnika."

A. S.

SCIENTYŚCI CHRZEŚCIAŃSCY

W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

„Aby pojąć do jakiego stopnia dusza człowieka współczesnego w nowym świecie przystępną jest doktrynom sekciarskim, trzeba zrozumieć tę prawdę, że w tym kraju szczególnym entuzyazm nawróconego o wiele bywa potężniejszym od rozpaczy takiego, który czuje się oszukanym. Jestto objaw, który znajdujemy w jednej tylko Ameryce.

„Gdyby ktoś jednak zadał sobie tę wielką pracę i dał światu najwierniejszą podobiznę psychologiczną duszy tamtego człowieka, wyjątkowej pod wielu względami, skutek nie odpowiedziałby założeniu, albowiem Amerykanin nie przejrzałby się w tem zwierciadle prawdy, a człowiek nasz — człowiek z tej strony oceanu nie uwierzyłby w możliwość podobnej anomalii."

Tak mówi w pracy swojej Albert Schinz z którego czerpiemy wiadomość o jednej z najnieprawdopodobniejszych sekt Ameryki Północnej. Interesuje nas ona niezmiernie z dwóch powodów.

Pierwszym z nich jest ten. że zuchwalstwo suggestyi, jaką robi człowiekowi założyciel tej sekty, należy do całkowicie wyjątkowych.

Drugi polega na tem, że założycielem tym jest kobieta.

Oto jak się ma rzecz cała z tą sektą:

Pani marya Baker Eddy zamieszkała w New-Hampshire, blizko Concord, o dwie godziny drogi żelaznej od Bostonu, ufundowała stowarzyszenie, które stanowi mięszaninę religii i sofistyki naukowej, i która między 147 sektami grasującemi w Ameryce, jest jak mówi sprawozdanie, najgłośniejsza. Początek jej odnieść należy do roku 1876, ale wówczas sekta liczyła tylko 26 wiernych, nie licząc zwierzchniczki - założycielki, która od swojej kongregacyi otrzymała tytuł pastora, a swojemu bractwu nadała miano *Scientystów Chrześciańskich* (Christian Scientists). Sekta rosła powolnie, ale ciągle. W roku 1890-ym liczyła ona już 8,724 adeptów, od tej pory przyrost zaczyna być nadzwyczajnym, tak, że rok 1897 zastaje bractwo liczące 40,000 osób, z 3,500 pastorami—rok 1898 członków 70,000 i 10,000 pastorów. Należy przytem pamiętać, że członek czynny kościoła nie może być branym za jedno z wyznawcą, bo tych ostatnich prasa amerykańska przyznaje sekcie jakiś milion minimalnie.

Świątynia metropolitalna wyznania, wzniesiona w bogatej dzielnicy Bostonu kosztowała 500,000 dolarów, a kollegium naukowe (*Massachusetts Metaphysical College*) przygotowujące nowej wierze katechumenów, ma prezydentkę samą założycielkę sekty panią Eddy. Staraniem kollegium wychodzi też miesięcznik noszący tytuł: *The Christian Science*.

To, co tę sektę odróżnia od innych, i co się tak olbrzymio do jej rozpowszechnienia przyczynia, to, że nietylko sprawy duchowego, ale i fizycznego bytu w życiu doczesnem bierze ona pod swoje skrzydła, ale zamiast, cobyśmy mieli swojemi słowy objaśniać istotę i treść doktryny, wolimy w tem miejscu powtórzyć w skróceniu to, co o niej mówi francuzki sprawozdawca, wspomniany przez nas Albert Schinz:

Podstawę zasadniczą nauki scientystów stanowi zaprzeczenie istnieniu materyi, a do uznania tego pewnika, w mniemaniu scientystów oczywistego, prowadzi tego rodzaju rozumowanie. „Bóg jest wszystkiem i nikt nie ośmieli się oponować przeciw temu, chyba gdyby chciał podać w wątpliwość trzy fundamentalne cechy Bóstwa: Wszechmoc—Wszechwiedzę i Wszechobecność. Bóg jest duchem, a więc wszystko jest duchem. Materya nie posiada właściwości natury duchowej, a więc materya nie istnieje."

Raz stanąwszy na takim gruncie, mamy przed sobą tylko wyniki i wnioski. Ciało jest materyą, a więc i ciało nie istnieje, nie może ono cierpieć, a więc cierpienie nie jest niczem innem, jak wytworem wyobraźni, a przytem czystem zboczeniem umysłu. Chcąc uleczyć rzekome cierpienie tego rzekomego ciała, należy postarać się o to przez pośrednictwo ducha. Dzisiejsza medycyna cała opierająca się na tem fałszywem przypuszczeniu istnienia jakiejś materyi, wyrozumowała sobie, że to właśnie owa materya, że to ciało jakieś w człowieku cierpi, co nie jest niczem innem, jak wzięciem skutku za przyczynę i odwrotnie, a ztąd i starania wszystkie lekarzy, zmierzające do usunięcia tych cierpień za pomocą leków stałych i płynnych, są najzupełniej bezowocne. Jeżeli zatem siedliskiem cierpienia jest umysł — nie ciało, środki lecznicze muszą być natury duchowej. Do ducha przez ducha!

Błąd w tem właśnie, że człowiek boleści i cierpienia przypisuje ciału.

Całem tedy usiłowaniem leczenia powinno być przekonanie człowieka, że on się myli mniemając, iż ciało jego cierpi. Jeśli nam się uda raz wpłynąć na zmianę zapatrywań takiego opętanego uprzedzeniem, dolegliwości jego ustąpią w mgnieniu oka. Ztąd też i scientyści chrześciańscy, mocno przeświadczeni o prawdzie założenia, nie mogą w żaden sposób być chorymi, a jeśli są chorymi, to dlatego jedynie, że wiara ich nie jest doskonałą. Co zaś do sceptyków, ciekawych, którzy roją się dokoła świątyni, tych mówca metafizyk uleczyć może słowem jedynie. Tylko my wszyscy tak ugrzęźliśmy głęboko w więzach cielesności, że wzbudzenie takiej wiary nie przychodzi nam łatwo, a są nawet wypadki, w których usiłowania najpotężniejszych scientystów pozostają bezowocnemi. Z takimi zatwardziałymi sama zwierzchniczka kościoła radzi wdawać się niekiedy w ustępstwa. I tak w razie jakiegoś złamania nogi, pozwala łaskawie arcykapłanka na to, aby taki chory imaginacyjny pozwolił na pielęgnowanie tej nogi (zapewne także imaginacyjnej) przez jakiegoś tak zwanego chirurga, ale to w każdym razie przez wzgląd jedynie, że niezmierna większość ludzi podlega jeszcze dotąd zakorzenionym zabobonom, od których nawet dusze najczystsze nie są zupełnie wolne. To też właśnie stanowi jej zdaniem przekleństwo ciążące nad rodzajem ludzkim, dzięki któremu najwyraźniejsza oczywistość doktryny metafizyczno - chrześciańskiej nie przenika do dusz tak, jak powinna. Możnaby. mówi katechizm sekty, porównać tę skazę do grzechu pierworodnego, który stanowi plamę nawet na duszach świętych. Nie pozwala ten stan umysłów, jak przewiduje p. Eddy. za dni naszych przynajmniej, spodziewać się, aby wrzody, rany, tak zwane mylnie choroby zakaźne, reumatyzmy i zapalenia niektórych organów wewnętrznych, leczone były radykalnie siłą ducha. W zasadzie wszakże nic nie stoi na przeszkodzie, aby u jednostek wybranych kość mogła się zrosnąć przez akt woli, i sama nawet pani Eddy leczyła niejednokrotnie złamania członków na odległość.

Aby się tego rodzaju leczenie stało powszechnem, potrzeba, aby wiara ludzka zeteryzowała się niejako. Z czasem, gdy ludzkość udoskonalona siłą tej prawdziwej i jedynej nauki zrobi pożądany krok naprzód, nietylko ustaną choroby i niedomagania, ale cały świat, tak zwany materyalny, będzie podległy skinieniu woli nowego człowieka. Pory roku zmieniać się będą niepostrzeżenie bez względu na długość i szerokość geograficzną, marynarz rozkazywać będzie wiatrom i głębinom mórz, astronom nie będzie potrzebował teleskopów, aby widzieć gwiazdy, a ogrodnik jednem tchnieniem woli, zaledwie rzuci okiem na ziarnko, będzie widział kwiat, na który dotąd oczekuje po głupiemu miesiące całe.

Są sceptycy, powiada pani Eddy, którzy wątpiącym tonem zadają śmieszne pytanie, azali w tej udoskonalonej ludzkości będzie można się obejść bez tak zwanego dzisiaj jedzenia. Ależ ktoby o tem śmiał wątpić—mówi niewątpiąca o niczem wobec swoich wiernych, założycielka nowej wiary. Tylko, że z tem jedzeniem śmiesznem, to tak zupełnie jak ze złamaniem nogi. Sam zdrowy rozsądek wskazuje przecież, że ono wcale nie jest potrzebnem nieodbicie, ale zmateryalizowanie się ludzkości, przesądy, i powstające wskutek nich złudzenia zmysłów stoją na przeszkodzie wyższemu stopniowi naszego rozwoju. I dlatego w dzisiejszem stadyum tego rozwoju nieroztropnością byłoby może przestać jeść, a tę wielką chwilę sprowadzić nam może jedno tylko prawdziwwe udoskonalenie nasze duchowe. Wtedy, oh wtedy wszystko będzie odmiennem! Żadna z podstaw dzisiejszej hygieny indywidualnej i społecznej nie będzie obowiązywać, a na takie naprzykład kąpanie codzienne dziecka, które my z pokolenia w pokolenie praktykujemy wszyscy, patrzeć się będą ludzie przyszłości, jakby się patrzył człowiek dzisiejszy na wyjęcie ryby z wody i powalanie jej błotem, dlatego jedynie, aby się ona następnie lepiej rozwijała w właściwym sobie żywiole.

Oto doktryna cała w zarysach. Dodać do niej możemy jeszcze pojęcie, jakie przywiązuje ona do tego, co my zowiemy złem, grzechem, błędem. Otóż co do tego grzechu, to jest on także tylko pomyłką naszego umysłu. Ten umysł obłędny wierząc w grzech, wierzy tem samem w dysharmonię świata, a ta dysharmonia jest niepodobieństwem zupełnem, albowiem Bóg jest sam w sobie i w dziełach swoich harmonią najdoskonalszą. Grzech stanowi właśnie wiara w istnienie grzechu. Leczenie metafizyczne wyleczy z cierpień i z grzechu jednocześnie, albowiem grzechem jest choroba sama, i dlatego doktryna nakazuje

brać zą jedno uzdrawianie chorych i doskonalenie ducha.

Pani Eddy, mimo tak wzrastającej liczby adeptów, ma jednakże i sporą ilość niechętnych. Tych ostatnich winna jest przedewszystkiem leczeniu, które uprawia na bardzo szeroką skalę. Z jej akademii metafizyko-chrześciańskiej wyszło z górą 2,000 lekarzy rozproszonych po całym obszarze Stanów Zjednoczonych, a reagujących przeciw cierpieniom ludzkim samą tylko suggestyą, t. j. wmawianiem, że rak, gruźlica, choroby zakaźne i epidemiczne, są wyłącznie wynikiem ich uwidzeń i braku podniesienia ducha. Ci oczywiście do zmniejszenia śmiertelności bynajmniej się nie przyczyniają.

Za tajemnicę leczenia tą metodą płaci się naczelniczce sekty jednorazowo 300 dolarów wraz z dyplomem. Studya nie są długie, zawiera je bowiem pani Eddy w 12 lekcyach. Każdy z tych 2,000 doktorów zdobył sobie prawo leczenia takim kosztem, co samo jedno przyniosło pomysłowej arcykapłance okrągłą sumkę 780,000 dolarów, nie licząc bajecznych wynagrodzeń za jej własną praktykę. Oprócz tego ogłoszone przez nią dzieło mieszczące całą doktrynę, doczekało się 166 wydań, a za każdy egzemplarz płaci się około 4 dolarów. Nie darmo też świadomi rzeczy podają jej dochody dzisiejsze na 360,000 dolarów rocznie.

Taką niewyczerpaną kopalnię stanowi w nowym świecie łatwowierność ludzka. Ta najbardziej zapędzona w zabiegach za groszem społeczność, ma jednocześnie wszystkie przesądy czasów pierwotnych i wszystkie naiwności wieku dziecięcego.

K.

MALARSTWO.

„Hej dumki młodości mojej, gdzie wy, gdzie?...“ Tak mówić się zdaje smutnym wyrazem oczu piękny człowiek o poważnej twarzy i bujnej siwiejącej brodzie. Twarz tę zadumy pełną rzucił profesor Wyczółkowski na płótno z taką swobodą, jakby mu się sama prosiła pod pędzel. Twarz to energii pełna i dzielności—więc ten żal za czemś, co minęło, tem więcej ma w sobie tragizmu. To nie dekadent życiowy—nie woli zabrakło temu człowiekowi. Ta dokoła jego ducha, jak na obrazie dokoła jego głowy, pustka się widać rozciągnęła smutna—pustka i nicość. Ta głowa pobudza do rozmyślań, tak, jak wiele obrazów Wyczółkowskiego. Oto np. te „Lalki.“ Człowieczyna w czapce błazeńskiej z dzwoneczkami, ukrył twarz w rękach i szlocha. Przed nim lalki w charakterystycznych kostiumach; jest żyd, szlachcic, sokół z chorągiewką i innych kilka. Czego on płacze? Obrazek aż naprasza się o podsunięcie pod niego literackiej treści, tyle ma w sobie wyrazu, tyle sam opowiada widzowi.

Poza tem widzimy, na specyalnie przez Towarzystwo Zachęty urządzonej, wystawie obrazów Wyczółkowskiego, wyborne portrety, pełne charakteru i życia, kilka wyrazistych fizyonomii profesorów uniwersytetu krakowskiego, kilka zajmujących twarzy kobiecych. Najżywsze zajęcie budzi portret Sienkiewicza i portret własny artysty.

Patrząc w piękne, smutne oczy autora trylogii—mamy złudzenie, że oczy te spoglądały na one boje, na one stepy krasnem kwieciem usiane, na skrzydlate zastępy, na cały ten barwny świat przeszłości, który pod ogniem jego źrenic powstał z mogiły.

Portret własny Wyczółkowskiego jest arcydziełem techniki malarskiej we względzie oświetlenia. Plamy słoneczne padające na twarz artysty, na serdak, są tak łudząco prawdziwe, że zdaje nam się, iż oto idzie właśnie ku nam w łunie chylącego się już ku zachodowi słońca. Ten blask słonka znany nam i kochany, z radością witamy na płótnie.

W drugiej sali spotykamy dwa dużych rozmiarów obrazy Fałata: „Łoś na bagnach na Polesiu“ i „Z nad brzegów Świtezi.” Jak zwykle u Fałata, jego woda wydaje się mokrą, jego rośliny nadbrzeżne tchną świeżością. Olbrzymia postać zwierza królującego w tych pustkowiach, sprawia imponujące wrażenie.

Obok tych dzieł poważnie, z pewnem namaszczeniem traktujących przyrodę, wiszą obrazki Jacka Malczewskiego, który przyrodę zaludnia tworami fantazyi. „Z dziejów piosnki” np. Widzimy poważnego jegomościa, który przypadkiem chyba zabłąkał się w krainę wodnych nenufarów i oto satyry jakieś, wygrywające na ligawkach wiosenne melodye, zaczynają stroić z nim figle. Jeden drugiemu podaje nutę, aż w końcu ostatni na łysawej czaszce poważnego jegomości oparłszy fujarkę wdmuchuje mu w głowę piosnkę wiosenną.

Na innym znów zatytułowanym „Jesień“ widzimy skalisty jar śród puszczy. Jarem tym pędził widać w pogoni za jeleniem młody myśliwy, ale duchy leśne może stając w obronie ofiary, może w celu spłatania złośliwego figla, spłoszyły mu konia. Koń ogarnięty dziką trwogą ucieka, jeździec leży na posłaniu z żółtych liści jesiennych. Ciekawe boginki spieszą go obejrzeć, satyry śmieją się złośliwie. Jest w tej scenie jakiś urok pierwotnego, prostego, na łonie przyrody, życia.

Towarzystwo Zachęty zebrało tym razem mnóstwo głośnych w świecie sztuki naszej imion. Mamy więc i dwa studya Boznańskiej, i zapytujemy siebie nie po raz pierwszy, co się to dzieje z talentem artystki? Dlaczego źrenice jej widzą świat cały jakby poprzez gęsty i brudny muślin?

Te „Dzieci” np., ta „Bretonka,“ czemuż to koloryt ich cery taki mętny, odrazu odpychające jakieś robi wrażenie, Dziwna ta maniera Boznańskiej uszczupliła mocno szeregi zwolenników jej talentu.

Wyspiańskiego „Smutek” zwraca uwagę wyrazem rzeczywiście ciężkiego, nieuleczalnego smutku, który zamknął artysta w zgiętej postaci, pochylonej głowie i zbolałej twarzy młodej dziewczyny. Czy modernistyczny gruby kontur przyczynia się do podniesienia tego wyrazu—wątpię bardzo. Muszę wspomnieć jeszcze o pastelowych główkach Aksentowicza pełnych subtelnego wdzięku, nim przejdę do krajobrazów stanowiących *great attraction* wystawy i o których mówi cała Warszawa.

Najwdzięczniejszem może z tych pastelowych cacek jest portrecik synka artysty. Drobniutka twarzyczka chłopczyny o ciekawych, intelligentnych oczkach, blada, wysubtelniona twarz dziecka z końca XIX wieku szczególny ma w sobie urok.

Jedna sala cała prawie zapełniona jest krajobrazami Nałęcza i Ruszczyca. Nałęcza „Przed wiosną“ jest bardzo zajmującym fragmentem przyrody. Dotychczas krajobrazy tego artysty były dziwnie zimne i martwe; w tym ostatnim drga życie—utajone życie zakrzepłej jeszcze, ale mającej wkrótce zbudzić się z zimowego snu—natury. Na płótnie niewielkich rozmiarów zdołał artysta pomieścić bardzo wiele. Umiejętnie obrawszy punkt, ukazał nam zakręt rzeki obrośniętej z dwóch stron iglastemi drzewami. Mamy złudzenie, że ogromny obszar rozciąga się przed nami, mamy silne złudzenie rzeczywistości. Na sosnach i świerkach leży jeszcze śnieg, śnieg zaścieła ziemię, ale to śnieg miękki; tu niezadługo wicher ciepły powieje i stopi w uścisku swoim ten całun zimowy. Las stoi cicho, ale drżeć się zdaje ukrytą w łonie żądzą życia.

Przejdźmyż teraz do Ruszczyca, który pierwszy raz przysłał na wystawę warszawską większą ilość swoich prac, i któremu krytyka niezmiernie oddaje pochwały. Najwięcej uwag wywołał już obraz zatytułowany „Ziemia.” Cóż tam widzimy? Oto z za wzgórza wychyla się postać oracza. Ciężki pług kraje ziemię, woły z wysiłkiem ciągną go pod górę. A nad ziemią tą, nad tym padołem pracy, potu, łez, wichrzą się dziwaczne obłoki. Najniżej, czarne grożą ulewą, wyżej, wyżej białe tajemnice burz, piorunów i huraganów kryją w sobie; kędyś nad horyzontem skrawki ich różowo zabarwiło słońce—a najwyżej poprzez poszarpane łono chmur widać nieskończoność błękitu. Obraz jest symboliczny. Pochyłość wzgórza, z za którego wierzchołka wysuwa się postać zgiętego w trudzie rolnika — sprawia, że myślimy o kulistości globu, i ten skrawek ziemi przestaje być skrawkiem, i dla umysłu naszego przedstawią ziemię całą, siedlisko Adamowego rodu. I żal nam tego zlanego potem człowieka-oracza, nad którego głową wichrzą się tajemnice, a dokoła oblewa go zagadka nieskończoności. On oczy spuścił ku ziemi, ręce jego krają ją z wysiłkiem, myśl rzadko kiedy wylatuje ptakiem w obłoczne krainy. Robak ziemny!

Obraz sprawia silne wrażenie. Obłoki malowane są cudownie, zorana rola mniej plastycznie się przedstawia. Jako pewną usterkę w pomyśle zaznaczyć trzeba, że artysta cały obszar namalowanej ziemi pokrajał w skiby, skutkiem czego ogarnia nas zupełnie usprawiedliwione zdziwienie, dlaczego rolnik orze ziemię już pooraną? No, ale to jest drobiazg.

Piękne też są obrazy tego samego artysty: „Młyn,” „Wieczór wiosenny“ i „Nad upustem.”

Szkoda tylko, że wadliwe oświetlenie salonów resursy nie pozwala nawet ocenić zalet tych pięknych dzieł.

H. C.

Ze spuścizny pośmiertnej

WIKTORA HUGO.

Pamiętnik wydobyty z teki po śmierci autora, jeśli jemu samemu nie przymnoży sławy literackiej, ani się do uświetnienia jego działalności publicznej nie przyczyni, za to jego osobę przedstawi nam często w świetle nowem, nieznanem, a nieraz i epoka opisywana nawet ukaże nam się pod pewnym odmiennym, niż powszechnie przyjęty, kątem widzenia.

Taką też, zdaniem naszem, usługę oddają sprawie ścisłości i prawdy historycznej, nieogłoszone drukiem aż po dni nasze, luźne kartki spisywane przez Victora Hugo wśród wstrząśnień i przewrotów prądu rewolucyjnego na gruncie francuzkim — kartki, którym on sam albo wydawcy nadali tytuł: „Rzeczy widziane“ (Choses vues). Prawdopodobnie tak je nazwał sam poeta.

Aby je zrozumieć należycie, a nadewszystko, aby sobie postać wielkiego autora i nader średniej miary działacza politycznego, tym nowym rysem uzupełnić, wypadnie koniecznie zestawić je porównawczo z innem jego dziełem—tem mianowicie, które w lat kilka po roku 48—już wśród namiętnych uniesień gniewu Yersejskiego wygnańca, ukazały się na widok publiczny.

Gdyby nie pewność niezbita, iż są obydwa pamiętniki przez jednego i tego samego człowieka pisane, gdyby z jednych i drugich zarówno nie wyzierał ku nam rys pewien stwierdzający tożsamość moralną sylwetki tego człowieka, ukazującej się w odmiennej ewolucyi przekonań, można by pod pewnym względem kwestyonować ich autentyczność. A tymczasem autentyczne są zarówno jedne i drugie, tylko, że podczas gdy w pierwszych niekwalifikowanych przez ich twórcę do druku, jest Victor Hugo niezdecydowany, nieoryentujący się w położeniu, chwiejny i nieledwie że bez wytkniętego programu politycznego — w tych drugich, które podobało mu się zatytułować „Histoire d'un crime“ występuje namiętny oskarżyciel, występuje człowiek chcący już uchodzić za trybuna ludu, bałwochwalczy czciciel tej formy rządu, której i on sam, i paruset podobnych mu obrońców, mimo deklamacyjnych wysiłków, przed determinacyą Ludwika Napoleona obronić nie umiało.

Ktoś niezupełnie przyjazny karyerze publicznej autora „Nędzników“ gotówby powiedzieć, że te dwa pamiętniki stanowią jednakże dopiero ²/₃ podobizny jego politycznej, i że ten, coby chciał mieć go całym i zupełnym, wystawić go sobie winien w ostatniej fazie, to jest wtedy, gdy się po świeżych orgiach komuny zjawia na mównicy z czerwonem kepi w ręku, i to kepi ostentacyjnie, gwoli zadokumentowania przekonań swoich, składa na pulpicie trybuny. Aby się na tę manifestacyę zdobyć w takiej chwili, przyznać musi każdy, że należało mieć o wiele więcej namiętności niż trzeźwego sądu, a nadewszystko należało być o wiele więcej agitatorem i pamflecistą, aniżeli człowiekiem czynu, rozróżniającym rzeczy słuszne od nieprawych—możebne od niemożebnych. Po raz też niewiadomo który z rzędu dowiedział się z tego wystąpienia świat cały, że jeśli społeczności wybierające do reprezentacyi narodowej literatów i poetów, słyszeć mogą z trybun swoich najdoskonalszą retorykę, jaką w danej chwili mieć można, za to nie mogą się te społeczności zaliczać do najszczęśliwszych wogóle, a w żadnym razie do najrozumniej rządzonych.

Dalekim jest bardzo V. Hugo w akcyi, poprzedzającej detronizacyę Ludwika Filipa, od tego człowieka, który jako deputowany pozbawiony mandatu, idzie na wygnanie — o całą przepaść odległym od tego, który sankcyonować usiłuje wszystkie spełnione zbrodnie, kiedy wbrew prawdzie złożyć pragnie okrucieństwa komuny na rząd Napoleoński — kiedy w obłudnie lirycznym nastroju kładzie w usta podpalacza biblioteki, jako zupełne niby usprawiedliwienie a zarazem jako protest, pełne według niego tragizmu słowa: „Ja nie umiem czytać!“

Victor Hugo po roku 1871, to człowiek, który stracił miarę, a straciwszy miarę potykamy się i kłócimy nietylko ze sprawiedliwością, ale nawet z rozsądkiem zdrowym. Namiętność obłąkuje zawsze — biała czy czerwona, nosi ona w sobie zatrute nasiona, któremi zaraża wszystko dokoła — przez które strąca w nicość ludzi i wypadki.

Przekonania społeczne Victora Hugo z epoki poprzedzającej upadek monarchii mieszczańskiej, zawierają się całe w obrazie, który on z właściwym sobie talentem poetyckim rzuca na początku pamiętnika. Wyrażenia niektóre odznaczone przez nas kursywą, wyrywają mu się mimowiednie z wnętrza duszy. Oto owa wielka antyteza społeczna, w której z wszelką słusznością dopatrywał poeta zarodu nadchodzących powikłań.

„Wczoraj 22 Lutego 1846 roku, mówi V. Hugo, poszedłem do Izby Parów.

„Na ulicy Tournon ujrzałem człowieka prowadzonego przez dwóch żołnierzy. Był to blondyn wynędzniały, o błędnem spojrzeniu, lat może trzydziestu. Miał nogi bose i pokaleczone w drewnianych chodakach, bluzę krótką, zabłoconą na plecach, co wskazywało, że spędzał noce na bruku — głowę odkrytą i potarganą. Pod pachą niósł bochenek chleba; gromadka idących gapiów objaśniała, że skradł ten chleb i za to go aresztowano.

„Gdy doszli do koszar żandarmeryi, jeden z żołnierzy wszedł do wnętrza, a *obdartus* pozostał pod strażą drugiego. W tej chwili przed bramą zatrzymała się wielka kareta, pokryta herbami o koronach książęcych, z dwoma lokajami w tyle. Przez szyby widać było wnętrze landary wybite białym aksamitem. *Motłoch* zaczął się przypatrywać tej karecie; siedziała w niej kobieta w różowym kapeluszu i czarnej aksamitnej sukni, świeża, biała, olśniewająca, która śmiała się i bawiła półtoraroczenem dzieciątkiem otulonem w futra, wstążki i koronki.

„Ta kobieta nie widziała patrzącego na nią obdartusa, ale on widział ją.

„Zamyśliłem się. Ów człowiek nie był już dla mnie człowiekiem, lecz powstałem nagle widziadłem grobowem, a potwornem, zjawiającem się w dzień biały—widziadłem rewolucyi pogrążonej jeszcze w ciemnościach, ale już niedalekiej.

„I dawniej biedak ocierał się na swojej drodze o bogacza; widziadło nędzy spotykało się z *chwałą* dostatku, ale nie patrzyli na siebie—szli dalej. *Mogło tak trwać bardzo długo!*

„Od chwili, kiedy ten człowiek spostrzegł, że ta kobieta istnieje, podczas gdy ona niedomyślała się nawet, że on obok niej stoi, przewrót zaczął być nieuchronnym.“

Victor Hugo mówi o motłochu, o obdartusach, o potworności nędzy, a chwale dostatku; powiada przytem, że to mogło tak sobie trwać jeszcze bardzo długo. Poeta-trybun był tedy w epoce tylko poetą, był nadto dobrym spostrzegaczem, a miernym politykiem, twierdząc, że to mogło sobie trwać jeszcze bardzo długo.

Już trwało — odpowiemy mu. A zresztą widać że trwać nie mogło, skoro nie trwało.

Wogóle marnie oni tam politykowali wtedy wszyscy. Mając monarchię spróchniałą i zgniłą w przededniu jej likwidacyi, baje sobie naprzykład poeta nasz z księciem Decazes o lewym brzegu Renu, jako o granicy naturalnej, o tym Renie, który nie dziś, to jutro należeć musi do Francyi. Co zaś do samego stanowiska poety, odnośnie do tego wykluwającego się przewrotu, wychodzi ono z tych pamiętników na jaw bardzo wyraźnie, ale przyznać wypada, że szczególnie przyjaźnie na rzecz Victora Hugo nie usposabia czytelnika.

Było to już 24 Lutego 1848 roku, a zatem w całym rozwoju wypadków. Poeta znalazłszy się u stóp kolumny Lipcowej, wchodzi na piedestał, aby być lepiej słyszanym, i przemawia do tłumu. Przyszły wielki republikanin mówi tym razem za regencyą księżnej Orleańskiej, ale massy ani chcą wiedzieć o monarchii. Jakiś znudzony słuchacz w bluzie przerywa mu:

— Milczeć, panie parze Francyi! Precz z parami Francyi!

I zaczyna mierzyć do mówcy swoją strzelbą. Ale pamiętnikarz zapewnia, że patrząc mu prosto w oczy, odezwał się:

— Tak jest! Jestem parem Francyi i mówię jako par Francyi. Przysięgłem wierność nie jednej osobie, lecz monarchii konstytucyjnej. Dopóki nowy rząd nie będzie ustalonym, obowiązkiem moim jest być wiernym temu, jaki istnieje. A sądziłem, że lud pochwala tych, co spełniają swój obowiązek.

Otóż to właśnie, że tu szło o różnice zapatrywań na obowiązek publiczny. Victor Hugo nie chciał pojąć treści tego, co się działo, i czepiał się swego parowstwa, jak argumentu, podczas gdy to parowstwo wraz z całym aparatem monarchii oddawna już straciło szacunek publiczny. Nie poszczęściła mu się ta mówka wcale, pomimo, że on sam czuje się z niej zadowolonym—przynajmniej w pamiętniku, jeśli nie w sumieniu. Nie czuje, że był miernym, broniąc tej swojej regencyi, a nadewszystko, że był nieszczerym, i że właściwie bronił tylko swego zagrożonego parowstwa. Nie darmo mówiono o tym retorze żartobliwie, że był to *Victor*, ale tylko, gdy wchodził na trybunę. Schodzący był zawsze *Victus*.

(*Dokończenie nastąpi*).

JULIUSZ ZEYER.

Na pograniczu obcych światów.

przełożył MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Stare jabłonie przydrożne przyjaznemi witały mnie skinieniami i wznosiły brunatne, pokrzywione gałęzie, niby ręce ku niebu, jako w starożytności rzymscy kapłani, modlący się, aby kiełki wyszłe z łona ziemi owoc przyniosły, i aby ten szczęśnie dojrzał pod światłością niebieską świętego słońca. I podniosłem oczy w górę, ku chylącemu się za widnokrąg źródłu światła i obnażyłem głowę. Chmurki różowiących się kwiatów, pod którymi kołysały się gałęzie, lśniły w czystem powietrzu. Płatki drżące dżdżyły mi we włosy, jak Rzymianinowi, gdy kapłani w teatrach, podczas cerealii, kwiecie jako symbol urodzaju na głowy ludu sypali.

Kroczyłem dalej długą aleją. W dali, za drzewami piętrzyło się ku wieczornemu niebu blankowanie gór, modrych, fiołkowych i złotych w słońca zachodzie, a gęste ich cienie padały na smętne lasy tam, kędy na skraju boru, jak gołębica, bielało stare nasze domostwo. Ze środkowej facyatki, wytworną rysującej się sylwetą, zwisała długa, czarna chorągiew żałobna. Nieliczni starzy domownicy, którzy pusty, wielki nasz dom zamieszkiwali, stali na dworze u wrót. Ktoś z nich mnie spostrzegł, i wszyscy wyszli teraz na me spotkanie ze starą klucznicą na czele. Z płaczem zaprowadzili mnie do małego w parku mauzoleum, kędy, od stu lat mniej więcej, spoczywali zmarli rodziny mej członkowie. W kole tych wiernych wyszeptałem przed ołtarzem dawno wyszłą mi z użycia i prawie zapomnianą już modlitwę... Potem dopiero wszedłem do domu, którego jedynym teraz byłem właścicielem.

Dziwiłem się sam, że tak mało tęskniłem za Paryżem. Trawiłem czas w szczególnym jakimś nastroju; poznawałem, że w smutku po drogiej osobie, jeżeli nie jest on gorzki i rozpaczny, kryje się pewien wdzięk poetycki, i że wspomnienia o zmarłych i o czasach dawno minionych, nadają miejscowości i rzeczom jakąś przytulność serdeczną, która żywo i wzruszająco do nas przemawia. Robiło mi szczególną przyjemność błądzić po domu i pustych komnatach, gdzie echo własnych mych kroków brzmiało jak powitanie dawno zmilkłych głosów. Oglądałem z nową ciekawością stare, dobrze mi znane sprzęty, stawałem długo przed zakurzonymi obrazami, zaglądałem w zmatowane zwierciadła, czyli nie utkwiło tam gdzie przychylne oblicze matki, albo moja własna, szczęśliwa twarz z doby złotego dzieciństwa.

Zajmujące to stare domostwo zbudowane było całe w stylu Ludwika XV, a niektóre jego części pochodziły z epok o wiele jeszcze dawniejszych. Nieboszczka matka moja miała niewinną słabostkę, którą ci i owi za wielki grzech uważali; przybierała mianowicie nader arystokratyczne pozory. Uważała zawsze za ogromne nieszczęście wyginięcie drobnej naszej szlachty narodowej, która bywała pono siłą i rozumem narodu całego i naczyniem jego tradycyi w średniowieczu i nawet później. Pomiędzy ostatnie szczątki tego stanu szlacheckiego zaliczała naszą rodzinę —nie chcę rozstrzygać, słusznie czy niesłusznie.

W wielkiej sali, pamiętającej średniowiecze, z pięknem sklepieniem gotyckiem i ogromnym kominem kamiennym, na który pół sosny na raz wejść mogło, rozwiesiła matka wizerunki przodków naszych. Z dumą widoczną błądziły zawsze oczy jej po twarzach dziadów i ich małżonek, ale rumieniła się jednak lekko za każdym razem, jeśli ktoś spytał przypadkiem o najpierwszego z czcigodnych tych mężów, starca w pudrowanej peruce, uśmiechającego się tak rozkosznie do pełnej róży, którą w ręku trzymał. Matka rumieniła się, bo ten właściwy założyciel naszej sławy, był kiedyś piwowarem i podniósł dopiero pracą i zabiegliwością swą upadły dobrobyt naszej rodziny. Za to spoglądała matka z zachwytem na jego syna, mego dziadka, bo ten, doszedłszy do wysokiego w wojsku stanowiska, pozyskał wreszcie znowu dla rodziny swej dyplom szlachecki, który przedtem mocno podawano w wątpliwość. To też matka błogosławiła go wstając i kładąc się spać za wielki czyn, że proste nazwisko nasze „Łoszan,“ ozdobił znowu dumną sławą. która symbolicznieześrodkowuje się w małej literce „z“ *), tak gorąco pożądanej i za naszych podobno—demokratycznych czasów. Na pamiątkę tego przesławnego męża postanowiła matka, że najstarszy syn w naszym rodzie ma zawsze nosić jego imię. I mnie przeto przy chrzcie nadała imię „Łazarz.“

Sala owa, mieszcząca nasze pamiątki rodowe, takie skromne, ale dla matki takie pełne wagi, była mi szczególnie miła, i wszystko, co tu opowiadam i co samo przez się jest może nieskończenie śmiesznem, było mi jednak miłe, ponieważ wspominałem przy tem o zapale, z jakim matka, po nie wiem ile razy, długie o tem wiodła rozmowy.

Co wieczór, siedząc u komina, na którym ogień nawet w lecie bywał przyjemny — bo z gór naszych wiatr dął zawsze mroźąco — co wieczór spoglądałem w zamyśleniu na obraz matki i przypominałem sobie delikatne jej obyczaje, prosty jej rozum i głębokie uczucia. I za każdym razem odszukiwałem w pamięci jakieś słowo, które wyszło było z ust jej oddawna zamkniętych. Pewnego wieczora, gdy wiatr huczał na dworze, a deszcz dziko bił w szyby okienne, uczułem się nagle dziwnie samotnym w tej wielkiej sali. Podniosłem oczy na obraz matki i przypomniało mi się, jak raz przy podobnej pogodzie, na tem samem miejscu, co teraz ja, ona siedziała przy ogniu, i przytulność rodzinnego żywota w porównaniu do głośnych zachwalała zabaw. Była wówczas już mocno chora, i zapatrzywszy się w twarz moją, rzekła: „Słowa Pisma, że nie dobrze jest człowiekowi być samotnym—wielkiej mądrości są pełne. Nie doczekam tego, ale radzę ci, chłopcze, abyś się wcześnie ożenił, o ile można najwcześniej przed trzydziestym rokiem. Jesteś teraz zbyt młody, abyś mógł mnie zrozumieć, ale przypomnij sobie później me słowa.“ I powtórzyła w zamyśleniu: „Nie dobrze jest człowiekowi być samotnym.“

Miałem już dwadzieścia i trzy lata, i wspomnienie o prostem tem zdarzeniu wydało mi naraz jak gdyby wyrzutem. Ale gorzka myśl o zdradzie Adeliny przeszyła mi myśl w tejże chwili. Ożenić się? Nigdy!

Wstałem gwałtownie i długo chodziłem po pokoju. Nie mogłem pojąć, co było powodem tego nagłego wzburzenia, czemu uśpione wspomnienia o zawiedzionej miłości znowu naraz jak wodospady w duszę mi się rzucać jęły, płosząc tak drogo okupiony spokój. Pasowałem się z tymi cieniami przeszłości, starałem się zwrócić prąd myśli na inne przedmioty, przywoływałem gwałtem prawie na pamięć scenerye krain, które widziałem w podróżach, postacie oddalonych przyjaciół, a zwłaszcza Henry'ego, który w tej chwili przyglądał się może przy blasku gwiazd celtyckim menhirom w Stonehenge. I nagle stanęło mi żywo w myśli całe zajście u czekoladnika na bulwarach, a potem „ukazanie się“ nieboszczyka ojca, o którem zapomniałem już był zupełnie — i po raz pierwszy od owej chwili przypomniałem sobie teraz, że mniemany ten cień mówił coś o ostatniej swej woli. Byłem jedynakiem, dziedzictwo przeszło na mnie bez żadnej przeszkody, i nikt o żaden podobny dokument ani zapytał. Cień wskazał mi wówczas wyraźnie miejsce, gdzie akt ów miał się znajdować. Czyliż nie ciekawa byłaby rzecz przekonać się o zupełnej złudności tego „ukazania się,“ które na przyjacielu Greku tak wielkie zrobiło wrażenie?! Zgodność proroctwa Henry'ego z mym półsnem na ulicy i z rzeczywistą śmiercią ojca, tłómaczyłem sobie dotychczas, jako prosty przypadek, ale teraz przesądność zażądała nagle, jakby na przekór jasnemu rozumowi, dotąd we mnie przemagającemu, abym się jednak przekonał, czy niema czasem w całym tym zbiegu przypadkowych zdarzeń czegoś innego, niż traf jedynie? Z uśmiechem niedowierzania chwyciłem lampę i poszedłem śpiesznie przez długi korytarz i drewniane schody na górę do biblioteki. Czułem sam, że wyglądam, jak jeden z owych perfumowanych ateistów osiemnastego wieku, który w buduarach pudrowanych markiz wyszydzali wszystko, czego jasny nie uznawał rozum, ale których wnet potem kuglarskie sztuczki Cagliostra zabobonnym przejmowały strachem.

Biblioteka ojca była nietylko dla mnie, ale i dla matki, i dla wszystkich domowych jakąś izbą Sinobrodego. Jako dziecko miałem, jak wszyscy zresztą w domu, surowy zakaz, aby tam nie wchodzić, i nawet do drzwi się nie zbliżać. W późniejszych latach, gdy tajemnicza komnata już mnie nie przestraszała, a wyraźny zakaz mnie już nie dotyczył, omijałem ją sam, ponieważ mnie ojciec nigdy tam nie wzywał. I została we mnie jakaś — nie powiem bojaźliwość, lecz niepewność, odpychająca mnie od czarnych tych drzwi, przypominających dziwactwo ojcowskie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

*) Odpowiadającej francuzkiemu *de*. (Przyp. tłóm.)

KRONIKA.

Konkurs „Prawdy."

Ze sprawozdania sądu konkursowego dowiadujemy się, iż komitet po wycofaniu z konkursu 5 ciu prac nieodpowiadających warunkom ogłoszonym, przyjął do oceny ogółem 95 utworów poetycznych.

Po odczytaniu wszystkich, przyszedł komitet do przekonania, że nadesłane prace dadzą się wedle ich wartości podzielić na III. główne grupy.

W I ej mieści się część pewna takich prób, które nieodpowiadają najskromniejszym wymaganiom literackim, reszta zaś, jakkolwiek wznosi się wyżej, ale nie dosięga tej miary, którą trzymać winien najmniejszy talent poetycki.

II grupa posiada tę miarę, ale zbyt małą, iżby się ona podnieść mogła ponad poziom powszedniości.

Do III należą utwory nietylko względnie najlepsze, ale stanowiące cenne nabytki dla literatury. Do tych zaliczono przytoczone w porządku wedle stopnia ich wartości:

1. Apoteoza } Maryi Grossek.
2. Harfiarze }
3. Na wyspie, Gustawa Daniłowskiego.
4. Z tej smutnej ziemi, Władysława Orkana.
5. Trzciny, Heleny Stattler.
6. Obłąkany, Edwarda Słońskiego.
7. Przez tajgi, Władysława Trzcińskiego.
8. Wyzwolenie, Maryana Zbroskiego.
9. Powrót, Fr. Arnsztejnowej.
10. Noc Świętojańska, Maryi Remiszewskiej.
11. Kutrymowie, Władysława Starskiego.
12. Ostatnie kartki, Maryli Markowskiej.
13. Księga miłości, Władysława Nawrockiego.

Nagrodę przyznano utworowi Jana Wareża Tytuł: Przez głębinę.

Z Towarzystwa hygienicznego.

W dniu 11 b. m. w sekcyi biologicznej czytał swoją rzecz dr. Barszczewski o jednem z nowych zastosowań promieni Röntgena do celów leczniczych. Po wykryciu owych promieni rozpoczęto próby z nimi w fototerapii, metodzie znanej od kilkunastu. Metoda ta polega na rzucaniu odpowiednio skoncentrowanych promieni światła słonecznego lub elektrycznego na miejsce organizmu zaatakowane przez drobnoustroje chorobotwórcze. Okazało się z doświadczeń, że te drobnoustroje zostały przez promienie zniszczone. Sprawozdania dziennikarskie mówią, iż w instytucie dr. Finsena na 450 chorych na wilka, traktowanego dotąd jako cierpienie nieuleczalne, wyleczono w ten sposób radykalnie 300 osób. Okazało się, iż pod działaniem promieni Röntgena mikroby zamierają, a miejsca po złośliwych liszajach goją się bardzo szybko. W końcu zachęcał dr. Barszczewski do założenia w Warszawie instytutu leczenia światłem.

Ponieważ sprawozdania mówią o cierpieniach spowodowanych przez bakterye pasożytnicze i ich leczeniu skutecznem za pośrednictwem promieni Röntgena, dodamy w tem miejscu od siebie wiadomość autentyczną mogącą zainteresować osoby cierpiące na uporczywe bóle newralgiczne. Znamy wypadek tego rodzaju zaszły przed dwoma miesiącami mniej więcej. Osoba cierpiąca na newralgię w prawym policzku od lat z górą 12, po wyczerpaniu wszelkich środków leczniczych w kraju i zagranicą znanych, zmuszoną była w ciągu ostatnich lat sześciu poddać się dwukrotnej operacyi chirurgicznej w odstępie paroletnim między jedną a drugą. Po każdej z nich ulga zupełna trwała, właściwie mówiąc, kilka miesięcy, a po nich zwolna stopniując się, powracały cierpienia dochodzące po latach dwóch do pierwotnego natężenia. Ostatecznie rzecz przedstawiała się tak, iż oprócz czasowego polepszenia przy zupełnem pokrajaniu i oszpeceniu całej połowy twarzy, trwałych rezultatów droga operatywna nie dała żadnych, zwłaszcza, że następną, to jest trzecią zapowiedzieli lekarze, w warunkach jeszcze niebezpieczniejszych, niż były poprzednie, albowiem miano poszukiwać chorego nerwu pod czaszką.

Ponieważ, jak to rzekliśmy, w trzy lata po ostatniem krajaniu bóle powróciły w całem natężeniu, osoba dotknięta nimi postanowiła szukać jeszcze ratunku u dr. Kozłowskiego w Petersburgu, zasłyszawszy że lekarz ten stosuje do cierpień newralgicznych leczenie przy pomocy tak zwanego prześwietlenia promieniami elektrycznymi. Po trzytygodniowej kuracyi cierpienia ustępujące powoli, ustały całkowicie, i dotąd nie ponawiają się wcale. Widząc jak wiele osób obezwładniają u nas cierpienia newralgiczne, i jak mało ulgi przynoszą im wszelkie stosowane dotąd metody leczenia, podajemy wraz z niniejszą wiadomością adres dr. Kozłowskiego. Petersburg, Mojka Nr. 9.

Na żądanie adresem i nazwiskiem osoby wyleczonej gotowi jesteśmy służyć każdemu interesowanemu bezpośrednio lub pośrednio.

Na wystawę paryzką.

Pomiędzy zarządami dróg żelaznych francuzkich z jednej, a takimiż zarządami w Rosyi i Niemczech z drugiej strony toczą się obecnie układy co do ustanowienia biletów powrotnych z Petersburga, Moskwy, Kijowa, Wilna i Warszawy na czas trwania wystawy Paryzkiej roku 1900. Cena biletów wszystkich trzech klas via Berlin — Kolonia ma być zniżoną do połowy z zastrzeżeniem, iż nie będą one służyć jednakże na pociągi kuryerskie, ktoby zaś chciał korzystać z tych ostatnich, będzie obowiązanym do opłaty dodatkowej. Bilety powrotne kasują t. zw. bilety spacerowe, których wprowadzenie uznano za nieodpowiednie. Jak się czytelnicy przekonać mogą, słusznie ostrzegaliśmy, aby zbyt pośpiesznie nie wdawano się w układy z żadnem z zawiązanych w ostatnich czasach przedsiębiorstw. Ułatwienia teraz się dopiero rozpoczynają właściwie.

Nowe widowisko.

Donoszą pisma, że zawiązane przed kilku miesiącami Towarzystwo artystyczne, zamierza, zorganizować seryę żywych obrazów, jak to praktykują w wielkich miastach Europy stowarzyszeni pracownicy pędzla i dłuta. U nas widowisko tego rodzaju zaprojektowane na korzyść kasy stowarzyszenia zapowiada się nader obiecująco, albowiem treści do grup dostarczyć ma drukująca się obecnie powieść historyczna Sienkiewicza: „Krzyżacy." Zamierzono przedstawić w żywych obrazach poniżej wyszczególnione epizody: Porwanie żony Juranda przez Krzyżaków, układu Ryszkiewicza — Ocalenie Zbyszka przez Danusię, w układzie Kazimierza Górskiego — Pasowanie Zbyszka, układu Romana Szwojnickiego — Śmierć Danusi, układu Górskiego — Niedojda (scena Krzyżaków z Jurandem) układu Eligiusza Niewiadomskiego — Jagienka ze Zbyszkiem w walce z niedźwiedziem układu K. Górskiego.

Dyrekcya teatrów udzieliła na dwa te przedstawienia sali teatru Wielkiego. Przedstawienia będą mieć miejsce w dniach 20 i 21 b. m., wydaje nam się jednak, że dwa te dni okażą się niewystarczającymi na zaspokojenie ciekawości ogólnej, bo cała mniej więcej czytająca część publiczności naszej rada będzie widzieć, w jaki też sposób odtworzyli artyści wielkie epizody, wyszłe z pod pióra Sienkiewicza.

Wskazówki i rady.

Dłuższe utrzymanie kwiatów ciętych w stanie świeżości.

Mowa tu będzie naturalnie tylko o kwiatach ciętych, nie zaś o osadzonych na drutach, bo te ostatnie krótki swój żywot estetyce układu zawdzięczają.

Zerwane kwiaty bardzo krótko w wodzie zachowują swoją świeżość. Najczęściej już po 24 godzinach więdną. Dlatego też miłośniczkom kwiatów miło będzie dowiedzieć się, iż są sposoby zachowania w zupełnej świeżości róż i innych kwiatów przez dłuższy przeciąg czasu.

Oddawna wiadomo, że więdnące kwiaty, zanurzone w wodę z naturalnych gorących źródeł, jak w Gastein i innych miejscowościach, nabierają blasku i świeżości, a świeżo zerwane dłużej się w niej trzymają, niż w zwyczajnej wodzie. Otóż przypuszczenia, iż to zjawisko polega na własnościach ożywczych gorących źródeł, są mylne, gdyż doświadczenie wykazało, że i woda zwyczajna, ogrzana, tak samo działa na kwiaty. Można się o tem łatwo przekonać, zanurzywszy w wodę wrzącą jedną trzecią łodygi zwiędniętej róży lub innego kwiatu. Podczas stygnięcia wody listki kwiatu nastroszą się i cały kwiat odzyska straconą świeżość. Po zaparzeniu w ten sposób łodygi należy sparzoną część odciąć nożyczkami, a pozostałą przy kwiatku zanurzyć w naczynie z zimną źródlaną wodą. W ten sposób można odświeżać całe bukiety i dłuższy czas trzymać je w pokoju w stanie zupełnej świeżości, co przy wysokiej cenie kwiatów w zimie jest nader pożądane.

Inny sposób polega na trzymaniu kwiatów w wodzie, w którą wpuścić 3 - 5 gram. amoniaku.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

WALDSCHLOESSCHEN NAJLEPSZE PIWO

A. MAKOWSKI i E. RAUER



Pierwsza w kraju fabryka

Wieńców, Kwiatów i Roślin

metalowych

Bukiety na ołtarze.

Girlandy z bluszczu, winogrona, konwalij i niezapominajki.

Krzaki róż w doniczkach. 120

PALMY, KAKTUSY, FIKUSY i t. p.

SKŁAD FABRYCZNY: Senatorska 22, na piętrze.

FABRYKA: Aleja Jerozolimska 129.

F. Pierzchalski

MAZOWIECKA 8

SKŁAD SZKŁA

krajowego i zagranicznego

WYBÓR DUŻY.
CENY PRZYSTĘPNE.

Własna Malarnia Porcelany.

Ogromny wybór przedmiotów do upiększenia.

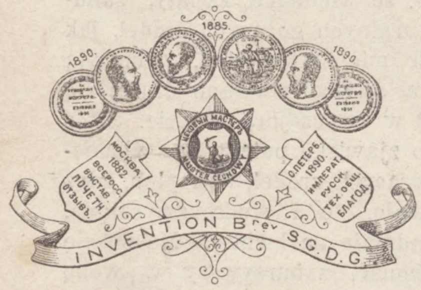
123

SKŁAD MEBLI LUD. PRASAŁEK. poleca w wielkim wyborze meble stylowe oraz kompletne urządzenia **Salonów, Jadalni, Sypialni** i **Buduarów**. Ceny przystępne. Ulica Bracka 9 róg Nowogrodzkiej. 20

SZTUCZNA CEROWNIA oraz pralnia Firanek i Koronek **Teofili Zalewskiej** 202 — Warszawa Królewska 45 m. 12.

PIERWSZA SPECYALNA SZKOŁA KROJU

Przyjmuje na kursa codziennie.



Nauka prowadzi się podług **najnowszej, najłatwiejszej Metody** z której uczennice odnoszą znakomite korzyści. **Ceny za naukę przystępne dla wszystkich**, po ukończonej nauce uczennice otrzymują **patenty cechowe.** Ostatnie wydania Metody zawierają najświeższe wzory sukien, konfekcyi i bielizny, podług których skrojone fasony leżą znakomicie. Nagrodzony **medalami srebrnymi i złotymi** za wzorową naukę i najlepsze podręczniki. 2005

***K. Głodziński*, w Warszawie,**
Nowo-Senatorska Nr. 2.

Firma założona w Poznaniu w r. 1833.

„Nagrodzony srebrnym medalem na wystawie w roku 1895"

PAROWY ZAKŁAD PALENIA KAWY

oraz

hurtowna sprzedaż surowej.

KAWY PALONE

w naturalny sposób bez sztucznych domieszek i nie glazurowane, aromatyczne i silne w smaku, w cenie od **kop. 50** do **rub. 1.20** za 1 funt w paczkach oryginalnych po 1 f., $1/2$ f., $1/4$ f. i pudełka 10 f. poleca

I. N. LEITGEBER

KANTOR Krak.-Przed. 6.

Uprzejmie proszę żądać we wszystkich handlach win i sklepach kolonialnych.

Firma założona w r. 1833.

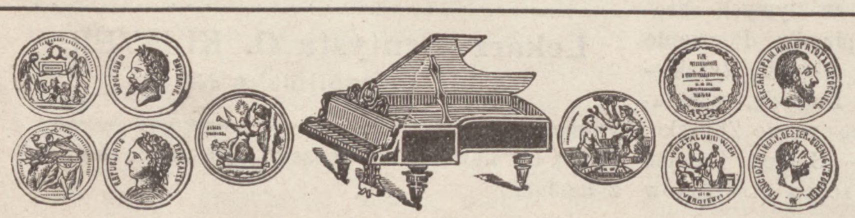
Telefonu № 1699. Telefonu № 1699.

SZKOŁA KROJU I SZYCIA

M-me MERCÈRE

Nowy Świat Nr. 42. 197

Kursy wyższe i niższe, system łatwy org. **Paryski,** zdejmowanie fasonów bez rysowania orm. Warunki przystępne. Wykład w 4-ch językach. Po ukończeniu uczennice otrzymują **patenty z Cechu**. Dla przyjezdnych **Pensjonat** z konwersacją **francuską, niemiecką i fortepianem**



MAŁECKI

Fabryka Fortepianów i Pianin

Jedyna fabryka w kraju nagrodzona medalami na wszystkich wystawach wszechświatowych 71M

17. Krakowskie-Przedmieście 17.



Bensdorpa

czyste hollenderskie

Kakao

wyróżnia się z pośród wszystkich innych marek wyjątkowo **doskonałym smakiem i absolutną czystością,** jest przytem łatwo rozpuszczalne i nadzwyczaj wydajne.

Konkuruje zatem li tylko **wysokim gatunkiem** (przy pełnej wadze puszek), co dla konsumenta tego artykułu jest rzeczą pierwszorzędnego znaczenia.

SKŁAD HURTOWY NA KROLESTWO POLSKIE

w Domu Handlowym

JAGIEŁŁO & KORZYCKI

Warszawa, Bielańska 9. 205

Hollandsche Cacao en Chocoladefabrieken

vh. Bensdorp & Co. A. G.

Amsterdam. Bussum

PRACOWNIA SUKIEN

J. KACZYŃSKIEJ

Uczennicy Hersego.

Poleca się na Karnawał. Ceny bardzo przystępne. **Zgoda 5 m. 28.** 2004

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS

nieszkodliwy,

dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.** Pudełko kop. 15. 30 i 50.

Główny Skład Solna № 9.

190

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**

„SAMOUCZEK"

Polsko-Francuski, najlepsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs 13** zeszytów, **II-gi kurs 24** zeszyty. **Gramatyka Polsko-Francuska, 10** zesz., każdy po kop. 15 (pocztą kop. 18).

SAMOUCZEK Polsko-Rosyjski Kurs I-y w **14** zeszytach, **Kurs II-gi** wychodzi zeszytami po kop. 10 (pocztą kop. 13).

Skład główny u autora **(Reussnera),** ul. **Złota № 6,** w Warszawie. 2007

Дозволено цензурою. Варшава, 3 Января 1899 г. Redaktor **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Wydawnictwo i Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.